Ner 41. Kraków, 12go Października. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. .a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„Niewiasta" wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

JESZCZE SŁÓW KILKA
O JĘZYKU OJCZYSTYM.

(Obacz Nr. 31, 34 i 37).

VI.

Choć przykro, trzeba cierpieć, choć boli, wybaczyć,
Skoro tylko kto umie rzecz dobrze tłómaczyć.

Krasicki.

Używając słów przytoczonych za godło następnego urywku, chcieliśmy na samym wstępie złożyć oświadczenie, że będziem chętnie cierpieć, chociażby bolało, że wybaczym z ochotą, jeśli „Zamiar Dziennika Wiary" rzecz swoją dobrze tłómaczy; bo właśnie wywiązując się z przyrzeczenia w ostatnim urywku danego, zabieramy się do rozprawy z Szanownym „Zamiarem"; a tem samem do wykazania, czy rzecz swą dobrze wytłómaczył. Dodajemy zarazem jako i na przypadek, gdybyśmy tłómaczenia „Zamiaru" dobrem uznać nie mogli, wcale się nań gniewać nie będziem: wiemy bowiem, żeśmy wszyscy ludzie słabi a jak tacy błądzimy. Wypowiemy zdanie nasze otwarcie i szczerze zachowując szacunek dla autora, tem bardziej że go nawet nie znamy. Trzymamy się zresztą słów św. Augustyna: „*W sprawach potrzebnych jedność, w wątpliwych wolność, we wszystkich miłość.*"

Jakżeż rozumuje, dowodzi i tłómaczy XVII ustęp „Zamiaru" w poprzednim numerze w całości przytoczony? jak broni sprawy mówienia po francusku?

Najpierw wydawaćby się mogło, że język do oznak zewnętrznych narodowości według „Zamiaru" należy. Że tak nie jest dowiedliśmy w ustępie II uwag naszych. Bez języka, że jeszcze raz powtórzym, nie masz narodu; a ludzi, chociaż w Polsce urodzonych, polskie imiona noszących, do narodu nikt nie policzy, jeśli języka polskiego nie umieją, albo go lekceważą. Powtóre myli się „Zamiar" jeśli utrzymuje, że „język polski zaczął cierpieć wtenczas, kiedy zapomnieliśmy mówić po łacinie;" bo on zaczął właśnie wtenczas cierpieć, kiedyśmy zaczęli *paplać* po łacinie, czyli mówić oną dziwną mieszaniną fraz polskich i łacińskich, nieustępującą w niczem dzisiejszemu paplaniu francusko-polskim żargonem. „Że język francuski jest językiem nauki, dyplomacyi i stosunków międzynarodowych w całej Europie, więc nie ma grzechu znać tę mowę" tego wcale nie przeczymy, chociaż dziwnem się wyda, jeśli ktoś konsekwentnie idąc powie: więc Włosi i Anglicy nie mają naukowego języka! A cóż dopiero z biednymi Niemcami się stanie, którzy jeśli do wojny z Francyą przyjdzie, właśnie słownikami i encyklopedyami zasłaniać się zamyślają? Jeśli język francuski jest dziełem nauki, to uczmy się go i czytajmy dzieła naukowe francuskie, jeśli dyplomacyi, to nauczywszy się go, służmy dyplomacyi; ale czy dla tego mamy, w domu siedząc, lub chodząc po ulicach, mówić po francusku pomiędzy sobą?

Ale „Zamiar" argumentuje dalej: Trudno znać język francuski, nie mówiąc nic pomiędzy sobą choćby dla wprawy." Z takim dowodem zgodzić się nie możemy. Bo co innego znać obcy język i znać go nawet dobrze, a inna rzecz mówić dobrze obcym językiem tak n. p. jak swoim własnym. Na to trzeba mieć albo przyrodzony szczególny talent, albo ślęczeć ciągle nad obcym językiem zaniedbując swój własny. Zresztą zgadzamy się na to, że mówiąc dopiero uczymy się języka, ale czyż to nie dzieje się za młodu? czy nie trawimy na to najpiękniejszego czasu młodości? Jakżeż wychowują się dzieci możniejszych naszych rodzin? Z małemi tylko a tym szanowniejszymi wyjątkami parlują od dzieciństwa z ochmistrzami lub ochmistrzyniami swojemi zaniedbując zupełnie własny swój język. Za młodu mamy więc dość czasu do wyuczenia się języka obcego, i to w obec mentorów, co błędy nasze zaraz poprawiać mogą. Ależ dla Boga! czyż życie nasze dojrzałe także tak mało cenimy, że i toż uczeniu się obcego języka poświęcimy? A ze słów „Zamiaru" coś podobnego wynika, jeśli nam dowodzi: że trudno znać francuski język nie mówiąc nim *choćby dla wprawy, gdyż nie zawsze zdarzy się z cudzoziemcami obcować.* Więc wiek nasz najważniejszy, wiek dojrzały, wiek działania męskiego, wiek zatrudnień macierzyńskich, w kole rodzinnem to czas uczenia się języka, albo wprawiania się w język obcy, to czas żakostwa? Więc rodziny polskie, rodziny najznakomitsze, rodziny o świetnej przeszłości i tradycyach, te koła poważnych ojców o marsowych twarzach, tych matron majestatycznej powagi, tych niewiast pięknej urody, w których łonie według słów poety przyszłość nasza się chowa — to wszystko razem, tylko jedna wielka szkoła, tylko wielka pensya bez granic, gdzie zebrawszy się wszyscy ćwiczą się w najlepsze w języku francuskim *dla wprawy gdyż nie zawsze zdarzy się z cudzoziemcami obcować!!* To trochę za wiele naiwności! Dobrze więc, pięknie, bardzo pięknie, ćwiczcie się malutcy! może wam na starość rozwiążą się języki polskie! Winszujemy dobrych postępów! Uczynimy tylko małą uwagę. Jeśli już wam chodzi tak bardzo o ten język oświaty europejskiej, to dobrze, Bóg wam pomagaj! Ależ odłożcież na to dziennie godzinę, dwie, trzy; a zresztą jeśli się znajdą tępsi, to niech sobie i więcej pozwolą, i zamknijcie się razem i parlujcie dla wprawy, *bo wam się nie zawsze zdarza z cudzoziemcami obcować;* parlujcie *con amore* niech się aż uszy trzęsą!

Weźcie sobie do tego korektora lub korektorkę, wszak o takich nie trudno; guwerner lub guwernantka francuska, kamerdyner lub kto inny tak często znajdują się po domach waszych, mówcie w ich przytomności, a będzie korzystniejsze mówienie, aniżeli was samych pomiędzy sobą, bo błędy, polonizmy i t. d. wam wytkną. Jeśli tylko sami między sobą parlować będziecie, nie odniesiecie tak wielkiej korzyści; bo zresztą wychodzi to na ono nasze stare przysłowie: Uczył Piotr Marcina, a Marcin tyle umie, co sam pan Piotr i jego koledzy lub koleżanki.

Zamknijcie się więc w domu i parlujcie do woli tym językiem oświaty europejskiej, nauk i dyplomacyi; może w końcu zostaniecie członkami akademii czterdziestu! Ale dla Boga! ograniczcie się na to! nie paplajcie po ulicach i nie gorszcie maluczkich, co jeszcze wierzą w boskie miłosierdzie i przyszłe życie. Nie rozczarowujcie tych, co patrząc na was o błogich marzą czasach, myśląc, że jeśliście nie sami to przynajmniej potomkowie „tych panów w żupanie, w których sercu cnót na króla stanie;“ jak tam gdzieś powiedział poeta! Szanujcie świątynie i módlcie się przecież językiem, w którym was po raz pierwszy matka chwalić Boga uczyła! Niestety! zapomniałem — jesteście konsekwentni. Polacy i Polki módlicie się w tym języku, w którym nauczyły was modlić się bony cudzoziemskie; a niestety! i jeszcze raz niestety! i same matki polskie! A nie pusty to zarzut, który tu uczyniłem. Posłuchajcie, opowiem zdarzenie, którego sam byłem naocznym świadkiem. Oto byłem w świątyni pańskiej, w świątyni, co pod niebiosa sterczącą zbudowała wysoko wzbijająca się pobożność ojców naszych! działo się to w starej a drogiej naszej świątyni Najświętszej Panny Maryi, co tak pięknie zdobi stary nasz gród królewski. Świątynia była pokryta kirem, zakryte i promienne blaskiem arcydzieło Stwoszowe; około katafalku jaśniały tysiące świec, a na katafalku leżały zwłoki rycerza; tego, co to, kiedy dzwony krakowskie zadzwoniły pewnego poranku na Anioł Pański, odmówiwszy modlitwę, Bogu duszę oddał; — rycerza, co się nie bał ludzi, ani broni ich, śmierć zionącej, i stał nie wzruszony w bitwach, ale jak dziecię bał się zawsze Boga. I mnóstwo wiernych zapełniło kościół; mnóstwo rodaków, by uczcić zwłoki wodza. A niedaleko około onego łoża śmierci stał młodzieńczyk wybladły i wychudły, wątły i szczuplutki, i jakby wszystko do siebie stósował, trzymał książeczkę rozmiaru miniaturkowego i modlił się z niej po francusku! Potomek znakomitej rodziny polskiej przy grobie wodza nie znalazł modlitwy polskiej w świątyni królowej naszej! modlił się więc biedaczek w języku *nauki, oświaty europejskiej i dyplomacyi, a to zapewne dla wprawy, gdyż nie zawsze zdarzy mu się z cudzoziemcami obcować, bo...* całe dotychczasowe życie spędził w Paryżu! Ale!

Choć przykro trzeba cierpieć, choć boli wybaczyć,
Skoro tylko kto umie rzecz dobrze tłómaczyć!

Tłómaczy nam więc „Zamiar“ dalej i pociesza uwagą: Chociaż będziem ciągle pomiędzy sobą dla wprawy mówić po francusku, „to nie przeszkadza nam mówić po polsku, owszem dozwala nam obcym plonem wzbogacać myśli nasze, a z większą nauką powiększa się i piękność kształtów mowy naszej;“ bo „kto wraca z Kalifornii ze złotem, łatwo na niem wybije piętno narodowe;“ bo „pierwszą pieśń naszą: „Boga rodzico, dziewico! ułożył Czech jadący z Rzymu, a Jan Kochanowski na *włoskiej* poezyi kształcony spolszczył nam psalmy Dawidowe.“

Na to odpowiadamy. Nie przeczymy, że nauką, obcym plonem wzbogacać myśli jest naszym obowiązkiem, bo nie myślimy zostać Chińczykami. Ale, aby to się rzeczywiście stało, trzeba mieć zawsze poczucie, świadomość własnej swej istoty, które tracimy, jeśli tylko obcym mówimy językiem. W takim razie, nie tylko że piękność kształtów mowy ojczystej się nie powiększy, ale owszem tracić będzie na swej przyrodzonej piękności. Bo nauka leżeć będzie jako martwy skarb w głowie, i musi leżeć, jeśli ten, co ją posiada, nie zna własnego języka, albo nim władać nie umie, kiedy od lat dziecięcych, od pierwszych wrażeń obcym mówił językiem. Taki nie potrafi plonów nauki w obcym języku nabytej wyrazić w mowie ojczystej; a jeśli się na to odważy, to tylko kaleczy i szpeci język własny, wciskając weń obce zwroty, obcy tok myśli. Na to trzeba gorącego polskiego serca, rozognionej polskiej duszy, umysłu płonącego ogniem poczucia narodowego! Te tylko potęgi, obejmując swym płomieniem żywioł obcej nauki, stopić go zdołają na płynną masę, która się potem odleje w pięknych kształtach mowy narodowej; ale nigdy inaczej. Podołać więc temu mogą według świadectwa historyi a nawet według doświadczenia codziennego tylko ludzie wielkich talentów albo gieniusze; bo oni tylko, przyjmując żywioły obce nie ronią istoty własnej; oni tylko wszystkie wpływy obce z łatwością sobie przyswajają, przerabiając zaraz na czynniki życia własnego; oni tylko w każdej chwili czują różnicę pomiędzy pierwiastkiem obcym a własną istotą. Dla tego mógł Kochanowski nie tylko na włoskiej, ale przeważnie na klasycznej wykształcony poezyi, tworzyć arcydzieła i wykształcić tak wysoko język; mógł to również miłością Boga i narodu całkiem przenikniony uczynić złotousty Skarga; dokonali tego później na obcych żywiołach kształceni Brodziński i inni, których Bóg namaścił na przewódzców narodu. Ale nie wiemy i „Zamiar“ nam tego nie wyjaśnił, czy Kochanowski, do którego się odwołał, rozmawiał w kole swojem rodzinnem w Czarnolesie, lub w towarzystwie jakiem, *po włosku choćby dla wprawy, gdyż nie zdarzała mu się sposobność obcowania z cudzoziemcami.* Zapytujemy dalej „Zamiaru“, ile to z tej wielkiej liczby od wieku blisko po francusku parlujących, z tych tłumów rok rocznie biorących udział, jeśli nie w ruchu oświaty europejskiej, to przynajmniej w ruchu ogóle, z tych tłumów ruchliwych, bo nie zagrzewających miejsca na ziemi ojczystej ale włóczących się po zagranicą, choć cokolwiek nam pięknych kształtów w języku naszym przysporzyło? Ile między niemi świętych Wojciechów, a więc apostołów, co życiu naszemu nową pieśń zainaugurowali? a jeśli już nie świętych Wojciechów, to przynajmniej Kochanowskich? Prosimy nam odpowiedzieć liczbą, wymienić nazwiska, a czołem uderzymy przed temi znakomitościami, przed tymi dobrodziejami narodu? Niestety! nikt nie da odpowiedzi, i dać jej nie może! bo w tym stepie życia bardzo głucho i pusto, bo z tego zapłodnienia serc i umysłów polskich nasieniem wyłącznie obcem wyrosły tylko chwasty czczości i próżności! A cóż one zrodzić mogą? Sama natura brzydząc się mieszańcami skazała ich na bezpłodność. „Zamiar wspomniał nam coś o złocie i Kalifornii. Dobrze. Gdzież więc to złoto, które nam od wieków zwożą do kraju dobrodzieje nasi parlujący *dla wprawy* po francusku? Tylu już po nie jeździło i jeździ, że powinniśmy dziś być najbogatszym narodem. Gdzież ono jest? chcemy na niem wycisnąć piętno narodowe! Niestety! to pusta przechwałka! złota nie masz; natomiast naprzywożono nam innego kruszcu w stanie płynnym, ale go nie nazwiemy właściwem nazwiskiem, by nie obrazić serc i dusz czystych! Pocóż więc było mieszać do sprawy tak lichej pierwszego, z zamierzchu dziejów naszych wysłaniającego się apostoła z oną pro-

stą a wielką w dziejach naszych pieśnią? Czy „Zamiar“ zapomniał o owem starem przysłowiu: *Ne misceantur sacra profanis?*

Idziemy do dalszych punktów dowodzenia. Według „Zamiaru“ nie szkodzi nic i nikomu, że się papla językiem francuskim; bo „*nie brakuje też piszących, co mogą język polski utrzymać, owszem wsławić i rozszerzyć za granicą.*“ A któżto ma być tym piszącym, co ma język polski utrzymywać, ba, nawet wsławiać i rozszerzać za granicą? Czy nie jest to obowiązkiem *każdego* Polaka? czy jest kto uwolnionym, albo się może sam uważać za uwolnionego od tego świętego obowiązku? Więc jedni mają go podtrzymywać a nawet zagranicą rozszerzać, podczas kiedy drudzy wzięli sobie za zadanie wypierać go z samej Polski! Sądzę, że lepiej nie kusić się o rozszerzanie go za granicą, a pielęgnować go z całym zapałem poczciwego serca, z całym żarem w języku ojczystym rozmiłowanej duszy, pielęgnować go na własnej ziemi, na której wraz z chwałą, wielkością, bólem i cierpieniem ojców naszych i dziś żyjących pokoleń wzrósł, rozwinął się i zakwitł tak potężnie! Bo o takim podziale narodu, z jakim wystąpił „Zamiar“ pierwszy raz słyszeć się nam zdarzyło; o podziale, wedle którego jedna część Polaków ma mówić po francusku, a druga ma starać się o język polski. Są więc jedni, którzy mają przywilej nie być Polakami; ale za to mają brać udział w ruchu oświaty europejskiej: mówić dla tego językiem nauki i dyplomacyi *choćby dla wprawy;* są to ci dobrodzieje narodu, co złoto z Kalifornii przywożą; a są drudzy, co pozostawszy Polakami, jakimi ich Pan Bóg stworzył, starać się mają, aby nie brakowało piszących, co mogą język polski utrzymać, owszem wsławić i rozszerzyć za granicą! Wiedzieliśmy dawno o tem, że są wszędzie pracowici i próżniacy, pełniący swoje obowiązki i marnotrawcy darów Bożych, dobrzy synowie serdecznie kochający matkę, i niewdzięczni, co o niej zapominają albo się jej wyrzekają, ludzie prawi i odstępcy, ale jeszcze nikt nam tak otwarcie i jasno nie wytłómaczył, że są Polacy nie mający obowiązku być Polakami—i Polacy, którzy są do tego obowiązani; nikt jeszcze nie przemówił mniej więcej w tych słowach do narodu: „Oto wy, co to pisząc możecie utrzymywać język ojczysty, krzątajcie się pilnie, pracujcie na niwie ojczystej i rozszerzajcie sławę imienia polskiego nawet za granicą! My zaś, którzy mówiąc pomiędzy sobą po francusku; *choćby dla wprawy*, bierzemy udział w ruchu oświaty europejskiej, siedząc albo przyjechawszy za zagranicę z przyjemnością słuchać będziemy pochwał sypanych językowi i literaturze polskiej, do której wsławienia pracą swoją tak dzielnieście się przyczynili. Powróciwszy do kraju, może będziemy raczyli pochwalić was za pilność waszą, chociaż nie będziemy czytać co piszecie, bo my biorąc udział w ruchu oświaty europejskiej tylko po francusku czytamy i między sobą mówimy choćby dla wprawy, gdyż nie zawsze zdarzy się obcować z cudzoziemcami. Ale nie ustawajcie, pracujcie dalej, aby nie brakło piszących, co mogą utrzymać język polski, owszem wsławić i rozszerzyć zagranicą; pracujcie, abyśmy powróciwszy do Paryża znów słuchać mogli pochwał sypanych językowi i literaturze polskiej, a przyczyni się to nam do trawienia po dobrym obiedzie.“ A więc Polacy rozpadamy się na Polaków i Niepolaków! Przypomniało mi to jednego uczonego profesora, na jednym z uniwersytetów, który według jakiegoś dowcipnisia stał się domem zajezdnym dla przejeżdżających cudzoziemców. Uczony ten profesor ze stanowiska swej umiejętności dzielił ryby: *na ryby i nieryby t. j. raki.* Czy to nie kubek w kubek podział, jaki nam zainaugurował „Zamiar dziennika Wiary?“ Zostajemy przy nim; ale nikt nam nie weźmie za złe, jeśli idąc konsekwentnie powiedzieć musimy, że w takim razie naród polski składa się z dwu oddziałów: z pilnych i skrzętnych po polach rodzinnych miód zbierających pszczółek, i z trutniów co się słodyczą i wonią cudzego zbioru karmią.

„Zamiar“ przecież dba i o język polski. Dowodzi bowiem, że liczba większa czytelników, kupujących książki, przedpłat na dobre dzienniki „silniejszemi są środkami do szerzenia polszczyzny, niżeli przymus i obelgi ulicznych swawolników“. Zgadzamy się z tem zupełnie; chociaż i tych swawolników całkiem potępiać już dla tego niepodobna, że to przecież uczucie polskie przemawiało z nich wtedy, kiedy może niegrzecznym sposobem przypomnieli rodakom swoim obowiązek mówienia językiem ojczystym. Czyż lepiejby było, gdyby byli w sprawie tak ważnej zupełnie obojętnymi? Ale wracając do onych silniejszych środków do szerzenia polszczyzny przez „Zamiar“ zalecanych, zapytamy jeszcze szanownego autora „Zamiaru“: *Skąd się weźmie większa liczba czytelników, kupujących i płacących za dobre polskie książki i dzienniki, jeśli bardzo znaczna część narodu, a do tego część najznakomitszych, a przynajmnej najmajętniejszych Polaków i Polek, mówi, czyta i pisze po francusku?* Czy to znowu ci, co w pocie czoła pracując mają utrzymywać język polski, a nawet wsławiać go i szerzyć za granicą, mają także sami czytać i kupować swoje własne pisma? Uderzmy się w piersi i odpowiedzmy sumiennie, czyja w tem wina? Kto przyczyną obojętności dla pism polskich i książek polskich? Czy ten lub ta, co od dziecinnych lat tylko po francusku mówią, czy ci, co od kolebki wszystkich co ich otaczają tylko po francusku mówiących słyszą, a język polski chyba tylko z ust liberyi słyszeli, mogą nabrać zamiłowania do literatury ojczystej, lub uszanowania należnego dla samego języka? Przegląd bibliotek pań i wielu panów naszych, stosunek liczby dzieł polskich do obcych wymowną dałby odpowiedź.

Wreszcie „Zamiar“ broniący parlowania dał dowód dobrego wychowania i rutyny salonowej. Przymówiwszy tak silnie za klientem swoim, t. j. językiem francuskim, nie zapomniał o komplemencie dla biednego naszego ojczystego języka. Nazwał bowiem „*mowę polską najlogiczniejszą, najbogatszą, najpiękniejszą ze znanych mu na ziemi.*“ Zjadł wilk barana i zapłakał, gdy dogryzał nogi. Pochwała ta języka naszego wydała nam się podobną do zachowania się męża co żonie swej ciągle prawi, że najpiękniejsza i najlepsza a w innej się tymczasem jak w najlepsze kocha. Zresztą wagi owej pochwały oznaczyć nie możemy, nie wiedząc ile języków zna „Zamiar dziennika Wiary“. Ale pomijając ten punkt jako mniej ważny, trzymamy „Zamiar“ za słowo i tak go interpelujemy: Jeśli język nasz rzeczywiście jest najlogiczniejszym, najbogatszym, najpiękniejszym, dla czegoż nim nie mówicie? Pocóż szukacie obcych bogów? Pocóż mówicie językiem mniej logicznym, mniej bogatym, mniej pięknym? Czy widział kto takiego, co mając wyborne narzędzie rzucił je, a szukał gorszego? Czy jest więc w takim razie sens zdrowy i loika? Powtóre, jeśli język nasz ma istotnie takie zalety, to zkądże się wzięły? Wziąć się tylko mogło ztąd, że jeśli naród najloicznej myślał, najobfitszy zasób myśli posiadał i najpiękniej umiał je wyrażać. Bo naród głupi i ograniczony logicznego i bogatego nie może mieć języka; w języku tyle tylko zawierać się może, ile tkwi w duszy narodu. Jeśli więc język nasz tak wysoko stoi jak „Zamiar“ utrzymuje, to wynika ztąd, że i naród, który nim mówi, do wysokiego stano-

wiska wzniósł się w rozwoju swoim; jeśli język nasz jest najlogiczniejszy, najbogatszy i najpiękniejszy ze znanych „Zamiarowi“ na ziemi, to wtedy i naród polski stanął najwyżej z tych wszystkich, które „Zamiar“ zna; wtedy my stoim na czele ruchu oświaty europejskiej a nie Francuzi, a dalej, wtedy francuski i inne „Zamiarowi“ znane narody, niech się uczą języka naszego, i niech nim rozmawiają. Tymczasem tak nie jest; pochwała „Zamiaru“ jest więc tylko przesadą, i to wcale niepotrzebną. Bo język każdego wykształconego narodu jest logiczny, bogaty i piękny, jeśli naród potrafił nim wyrazić szczytne pomysły różnorodne, uczucia swe najwewnętrzniejsze i najsubtelniejsze. Kwestya więc o wyższość jednego języka nad inne, w gruncie nie ma podstawy, i tylko z próżności narodowej wypływać może. Język każdy to organ, którego drugi zastąpić nie może; to głos mający w harmonii swoje wyłączne miejsce i znaczenie. Włosi mają Danta, Anglicy Szekspira, Niemcy Szylera i Getego, my Mickiewicza i Krasińskiego. Dant więc dla Włochów, Szekspir dla Anglików, Szyler i Gete dla Niemców, a dla nas Adam i Zygmunt najloiczniejsi, najbogatsi, najpiękniejsi. Czyż inaczej rzecz się ma i z językami? Dla każdego narodu język jego jako z duszy i serca wyrosły, z jestestwem jego zrośnięty, jest najpiękniejszy, zwłaszcza jeśli wielcy mistrzowie wyśpiewali, wypowiedzieli w nim to, co od wieków leżało zarodem w duszy narodowej, jeśli mu w pięknych i przezroczystych kształtach odzwierciedlili cały świat jego wewnętrzny i zewnętrzny. Ale nikt nie ma prawa do głoszenia światu, jakoby jego język przechodził wszystkie inne.

Takie zdanie nasze o obronie *parlowania* przez „Zamiar dziennika Wiary“ podjętej. Cośmy czuli i myśleli, wypowiedzieliśmy prosto i otwarcie; jeśli czasem przyszło nam wyrazić się cierpko i gorzko, to proszę wybaczyć, bo to gorycz wyssana z łez i krwi..., bo trudno stroić twarz w uśmiech, kiedy serce boli. I nie dzisiejsza to sprawa. Od kilku dziesiątków lat wołają już wszyscy prawi i poczciwi, upominają i karcą, a zatwardziali grzesznicy i grzesznice brną coraz bardziej w głupstwie, które nawet w zbrodnię się przeradza. A przecież czas już poznać się w głupstwie; czas wyrzec się go, czas skruszyć się i poprawić! Ale również czas już wystąpić stanowczo przeciw złemu, czas wołać bez ustanku i nie zrażać się w wołaniu; czas zerwać maskę z głupstwa lub złego i wyświecić je w całej nagości a szczególniej, jeśli w poważną kryje i stroi się szatę; bo już oddawna woła poeta:

Czas Ziomkowie! już na dobie
Klejnot prawdy czyścić z błędu,
Czas jąć topór w dłonie obie,
W błąd *poważny* ciąć bez względu!
Niech ten bałwan, jak dąb w puszczy,
Gdy go w ciemię grom uderzy,
W szczęt strzaskany w piorun wierzy,
Albo idzie w podziw tłuszczy!

Na tem zamykamy rzecz naszą z „Zamiarem dziennika Wiary“; ale nie sprawę języka ojczystego, o której pozostaje nam jeszcze nieco do pomówienia. Uczynimy to w następnych numerach *Niewiasty*. Niniejszem rozprawiliśmy się tylko nad „Zamiarem“ którego prosimy jeszcze o rozwiązanie jedynej tylko zagadki. Zkąd i jakim tytułem znalazła *obrona parlowania* miejsce w „Zamiarze dziennika *Wiary*? Jak się wiąże sprawa parlowania z najszczytniejszem dobrem, z najżywotniejszą sprawą rodu ludzkiego... z *Wiarą*? Znowu nam tylko wypada przytoczyć wymienione już: *Ne misceantur sacra profamis!*

A na zakończenie niniejszego urywku wypiszem nieco zmienione słowa wiersza naszego. Duch wielkiego Zygmunta patrząc z wyżyn na nasz padół, przenikając serce nasze silnie bijące dla dobrej sprawy, wybaczy nam, żeśmy stosując słowa jego wiekopomne do sprawy, której bronimy, odważyli się zmienić według potrzeb naszych. Wołamy więc:

Przeciw piekłu podnieść kord,
Bić szatanów czarny ród...
Lecz nie nęcić polski lud,
By niósł mowie polskiej mord!

KLAUDYNA POTOCKA.

(Ciąg dalszy).

Spędziwszy tak pięknie, tak przykładnie dla wszystkich swych rówiennic, młodość swoją Klaudyna, doszła nareszcie do chwili, w której Bóg dziewicom prawdziwą ich przeznaczenia drogę wskazuje. W r. 1824 została żoną Bernarda Potockiego, i w tymże roku dom rodzicielski opuściła. Zrozumiała Klaudyna dobrze wszystkie trudne obowiązki nowego swojego powołania, to też wypełnianiem ich stała się ozdobą tej rodziny, której nazwisko przybrała. Od tego też już czasu zaczęła Klaudyna, własną powodując się wolą, i piękny majątek do rozporządzenia mając sobie oddany, urzeczywistniać piękne uczucia i te wszystkie szlachetne zamiary, które już młodociany jej umysł zajmowały. Więc też zostawszy panią domu żadnej nie zaniedbała okoliczności, która sercu jej pozwoliła pospieszyć dla bliźnich z współczuciem, przysługą, ofiarą. Do poświęcenia się dla bliźnich serce jej największą czuło gotowość.

Nie długo jednakże, bo ledwie lat kilka, zostawała w spokojnem zaciszu domowem. Wypadki spółczesne, wymownie do jej serca przemawiające, powołały ją tam, kędy jej współczucia, jej opieki, jej poświęcenia, potrzeba było bardzo.

Wyrzekając się dostatków, a raczej poświęcając je w całości na cele najszlachetniejsze — opuszcza Wielko-Polskę. Ani surowość zakazów, ani utrata majątku, ani inne tysiączne przeszkody rządu pruskiego, nie wstrzymały Klaudyny Potockiej od przedsięwzięcia wraz z innemi Wielkopolanami podróży do Warszawy.

Serce, poświęcającej się dla braci, kobiety, znalazło tam dla siebie prawdziwą rozkosz, gdy codzień prawie wynajdowało dla siebie nowe sposoby niesienia pomocy nieszczęśliwym. Klaudyna Potocka opatrywała rannych, przesiadywała przy chorych, dodawała nadziei zwątpiałym, a wszystko to czyniła z takiem chrześciańskiem namaszczeniem, z takiem pogodnem obliczem, iż każdy cierpiący, który choć chwilę małą doznawał jej opieki, widział w niej prawdziwego anioła, zesłanego na ziemię na pocieszenie i ulgę w niedoli zostającej braci...

Podczas pobytu Klaudyny w Warszawie, cholera zaczęła szerzyć po całym kraju zniszczenie. Wówczas to dopiero można było ocenić wielkie i prawdziwe poświęcenie młodej i wątłego zdrowia kobiety! Bez najmniejszego względu na siebie, owszem z największem narażeniem własnego życia, Klaudyna nie opuszczała prawie szpitalu, przepełnionego chorymi jej braćmi. Komu już żadne lekarstwo zdrowia nie mogło przywrócić, temu

ona słowami wiary i miłości przywracała przynajmniej spokój, w którym się mógł pogodzić z Bogiem — i pobłogosławić opiekuńczego anioła wszystkich!

Piękną, anielsko piękną zaprawdę musiała być wtedy Klaudyna, gdy z całą miłością i poświęceniem doglądała chorych w szpitalu. Z wszystkich też serc najszczersza wdzięczność składała na nią błogosławieństwo. Chorzy mieli do niej większe zaufanie niż do lekarzy, a ten, któremu własną ręką nie podała lekarstwa, dotąd nie nabrał nadziei wyzdrowienia, dopóki się do jego łoża nie przybliżyła.

Wszystkie jej słowa, rady, napomnienia, pociechy, wzmacniały biednym cierpiącym ducha, obudzając ku niej nieograniczoną wiarę i wdzięczność.

Po nie długim czasie pobytu w Warszawie, zbiegiem znajomych okoliczności... i Klaudyna opuścić musiała rodzinną ziemię...

Przybyła do Drezna. Tęsknota za ojczystym krajem była teraz najpierwszem jej uczuciem serca — to podniecana, to łagodzona widokiem otaczających ją ziomków, których losem zajęła się gorliwie. W tym celu pierwsza podała myśl założenia komitetu dobroczynności. Gdy już komitet ten był utworzonym, oddała go pod przewodnictwo pani Dobrzyckiej, która była honorową damą dworu saskiego. Do kasy tego komitetu wpływały znaczne sumy z majątku Klaudyny. Gdy atoli coraz wzrastająca liczba tych, których komitet miał wspierać, niepodobieństwem czyniła zaspokojenie najbardziej nawet naglących potrzeb — wtedy Klaudyna, nieustająca nigdy w poświęceniu się dla bliźnich, na ten cel oddała z rabunku pruskiego jedynie ocalone drogie kamienie, za które wzięte pieniądze w ilości 40,000 złotych, wspomniony niedostatek zaspokoiły.

Wysoką przejęci wdzięcznością, przebywający w Dreznie Polacy, ofiarowali jej brasoletkę z kartą, na której swoje uczucia i jej należną cześć wyrazili.

Ukształcone spółcierpieniem i spółniedolą serce Klaudyny, wyrobiło w sobie to ciche, religijne usposobienie, któremu z dala od wiru świata najlepiej, w modlitwie najrozkoszniej — a w wierze i nadziei najweselej!

Porzuciła też Klaudyna świat wesela i uciech na zawsze. Długie warkocze pięknych swych włosów uciąwszy, przywdziała czarną suknię żałoby — i od zakonnicy mężniejsza — bo nie zamknięta murem przed światem, ale w tym świecie, wśród ludzi, Bogu i ludziom poświęcone — zakonne pędziła życie.

Lecz czyliż w takim stanie zapomniała o swej nieszczęsnej, ojczystej krainie? O! nie. Wszystkie krajowe wypadki były jej znajome dobrze — skwapliwie od przejeżdżających, którzy też jej gościnnego nie mijali progu, wywiadywała się o wszystko, nad każdą pomyślnością spółweseląc się z nimi, nad każdą boleścią spółbolejąc. *(Dok. nastąpi).*

KONKURY WIECZNIE TRWAJĄCE,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

II.

Obiady i serce pana Michała.

Zaczęliśmy od tego, że p. Michał czytał francuską gazetę — czytał ją z natężoną uwagą, bo się do tej gazety odwołał jako do poparcia swojego *wyznania wiary*, o które się posprzeczał na wieczorze u hrabiego X. Mówiono o wielu żywo wszystkich obchodzących sprawach w pojedyńczych grupach.

I tak w jednej grupie złożyli się sami ludzie prostego ducha, prostegu sądu, ale dla tego często trafniejszego od najsubtelniejszych debatów, a w tej grupie przewodniczył pan Bonawentura, dawny wojskowy a dzisiaj zawołany gospodarz. W drugiej dobór intelligencyi, niby śmietana każdego towarzystwa, która się także sama niewiedzieć jak od innych odłączyła, a ku sobie zbliżyła; a tu najwięcej prawił pan Stakkato, pochodzący z dziadów Włochów, ale osiadłych w Polsce i gorąco miłujących przybraną ojczyznę. Trzecią grupę stanowiło kilka starszych kobiet i grono młodzieży, gdzie prym wodziła pani Karolowa, mająca reputacyą natchnionej, wielkiej poetki w całym powiecie.

Wszyscy rozmawiali żywo, mianowicie koryfeusze — a rozmawiali o sprawach krajowych tak dzisiaj ogniście piekących wszystkie piersi. Pan Michał przechodził się pomiędzy temi grupami, niemogąc powziąść stałego postanowienia przy której się stale zatrzymać. Przechodząc się tu i owdzie, słyszał tu trochę, tam trochę, a że mu tylko o to chodziło, żeby słuchać i dopiero w danym razie wystąpić, więc ciągle czekał na jakie słowo, któregoby się mógł czepić. Pan Bonawentura poważnie a grzmiąco mówił o rozdarciu sił wewnętrznych kraju, o niedbanie związania ich w jednę silną organizacyę moralną, z którejby wpłynęło wszystko, czego będzie potrzeba. Pan Bonawentura mówił z silnem przekonaniem, a w słowach jego czuć było taką czystą szlachetną miłość ojczyzny, taki zapał i chęć sprawienia dobrego, że otaczający z cześcią dla niego, a z rozbudzonym smutkiem w duszy, pochylili głowy zadumani. Tam gdzie mówił pan Stakkato, sypały się iskry dowcipu, zmysłu politycznego, trafności charakteryzowania epok i ludzi — ale też to było i wszystko, bo niejednemu więcej chodziło o szumny fajewerk; — a w każdym razie wszyscy posunęli chłodną analizę do tego stopnia, że zwątpieni i zniechęceni, niewidzieli w kraju nic, coby go dźwignęło, żadnych materyałów z którychby odrodzony powstał. Byli to sami ludzie dowcipni, zdolni nawet, czytający piszący i grzebiący dużo w historycznych i politycznych aktach — ale opierający wszystko na materyalnej sile, nie wierzący nic w potęgę ducha, w idee wieku i w sprawiedliwość boskiej Opatrzności.

Tam wreszcie gdzie mówiła pani Karolowa, była największa rozmaitość zdań i pojmowań, lubo z jednej strony ciągłe tryskania poetyczne, które zapalać miały wyobraźnią, a z drugiej opowiadane anegdotki młodego pana Zefiryna, (należącego do kategoryi ludzi, wróżących z bon mot Napoleońskiego lub anegdotki na pewne, szczęśliwą przyszłość), walczyły ze sobą o lepsze.

Pan Michał z usposobienia, i z pojmowania rzeczy wolałby zostać przy młodym Zefirynie, miłość porządku i zakrój arystokratyczny drugiej grupy ciągnęły go do pana Stakatta, popularność zaś pana Bonawentury i mimowolny szacunek, jaki czuł dla niego, doradzał mu przyłączyć się znów tutaj.

W fatalnem był położeniu pan Michał, który dotychczas nie widząc tego zwyczaju, nie przypuszczając (jak do siebie i do żony mówił), takiej mody, nie trutynował nigdy swojego sumienia politycznego, nie macał pulsu swego serca z ciekawością dowiedzenia się, czy też tam tli jakaś iskierka z tego ognia, co się palić wiecznie powinien przed ołtarzem narodowym.

Gdy jednak wir porwał go z sobą, pan Michał widząc się tak nagle w zupełnie nowym dla siebie ży-

wiole, niepojmując czego chcą, czego się dopominają, odurzony, zmęczony, przestraszony, stanął na jakiejś krzyżowej drodze, z której tysiące prowadzących dróg i drużyn jeszcze go więcej tylko straszyło.

Niewiedząc którą obrać, nieraz uszedł już kilka kroków na jednej, gdy powstały za nim hałas zwracał go napowrót, i znów kroki na inną kierował. Z tego wahania się, z tej próżni i czczości wewnętrznej, wyradzały się dla pana Michała często arcyniemiłe zdarzenia. Pan Michał albowiem nie kochający ojczyzny i nieumiejący myśleć o niej, nieuważał jednak za stósowne ustąpić miejsca drugim zasłużeńszym, lecz owszem braki tamte chciał zapchać koniecznie swoją osobą, jako właścicielką pięciu wsi i okrągłych kapitałów.

— *My* nie możemy — powtarzał głośno — stać na boku, bo *na nas* wszystko.

Niechcąc ustąpić miejsca, a chcąc koniecznie grać rolę, utworzył sobie pan Michał system serdeczności, rubaszności, mający naśladować ową staropolską gościnność, na której rachunek wolnoby mu było często wszystko bez ogródki powiedzieć, — nim jednak w systemie tym się wydoskonalił, wpadał często w straszne kolizye, grzęznął w chaosie rozlicznych zdań i projektów, i puszczał bąki rozśmieszające wszystkich. Tak też było i ostatnią razą u hrabiego X.

Uderzony albowiem rozumowaniem p. Bonawentury, przyswoił je sobie w pamięci natychmiast, i z niem przystąpił do grupy poetki, czytającej właśnie jakiś wiersz okolicznościowy, krzyknął: brawo! cudownie! ale zauważywszy pobieżnie, że wiersz ów sprzeciwiał się trochę zdaniom p. Bonawentury, posunął się do p. Stakkato. Tu anatomizowano właśnie krytycznym nożem szyderskiego dowcipu jedną z warstw społeczeństwa, i właśnie zgodzono się na to, że ta przegniłością swoją nie daje żadnej rękojmi na przyszłość, gdy w tem p. Michał egzaltowany wiersz poetki w uniesieniu przytacza i komentować zaczyna. Milczenie i zimne spojrzenia grupy mięszają mu mowę, zatrzymuje się więc trochę, ale pyta:

— Jakto więc nie podzielacie tych zasad?

— Czyż to są pańskie zasady? — odpowiedziano — a zkądżeś pan ich zaczerpał?

Wzięto p. Michała na tortury, p. Michał nie mając podstawy w sobie, bronił się jak żak pamiętający z swojej deklamacyi tylko pojedyńcze ustępy; rzucał frazesami kiedyś usłyszanemi, lub powierzchownie wyczytanemi, odwoływał się do pojedyńczych faktów miejscowych niby do źródeł historycznych, aż w końcu przyparty własnemi dowodzeniami, odwołał się na gazetę francuską, którą abonował. A gdy mu i teraz dowiedziono, że nawet gazetę źle zrozumiał, rozgniewany do domu odjechał.

Nazajutrz przed powyższą rozmową z panią Sternicką, czytał pilnie gazetę francuską, chcąc koniecznie doczytać się jakiegoś uspokojenia dla siebie. Uciekał się do tych błahych środków, niepojmując, że cały ten stan chaotyczny jego umysłu, dotąd trwać będzie musiał, dopóki łaska Boża nie wleje weń serdecznej miłości ojczyzny i poczucia narodowego. Z tego niepokoju wypływał zły, ciągle drażliwy humor, — i zgryźliwość większa niż dawniej w domowych i familijnych stosunkach. Wypływało dalej gorliwe staranie się naginania opinii ku swoim efemerycznym pojmowaniom a ztąd nieszczerość w słowach i działaniu.

Z tego stanowiska określamy z góry pana Michała, uważając postawienie go na nim za konieczne do dalszego zrozumienia cnoty jego prywatnej chcąc go dać mniej więcej poznać z dalszego toku szkicu naszego. Że jednak umieściliśmy na górze: serce pana Michała, więc chcemy się z tego o ile sił wytłómaczyć.

W codziennem życiu słyszymy bardzo często o kimś: ten człowiek lekki ale ma serce, ten szorstki ale ma serce, ten gwałtowny i uparty ale ma serce; ów szkodliwy językiem ale ma złote serce, ów złośliwy i szyderca ale ma serce, nareszcie ów żyje trochę zdala od ludzi, trochę za mało, choćby mógł, czyni dobrego, trochę zanadto żyje jak ślimak w skorupie, ale w gruncie to on ma złote serce!

Lecz jakże się to zgadza, że tacy źle robią, mając w sobie czynnik dobry? Jak mogą kochać ludzi, nie okazując im tego? Nie — to nie serce dobre, to słabostki czyniące ich leniwymi i apatycznymi, a więc biernymi w kierunku złym, to instynkta wreszcie dobre, ale nie serce.

„Człowiek z sercem“, to według nas człowiek wielki, bo zdolen poświęcenia, to człowiek który ma serce dla tego, aby oddychało miłością dla drugich.

Ludzi z sercem budzić nie trzeba do czynów miłości, serce samo spać im nie da. Szafowanie przeto powszednie wyrażeniami podobnemi, zatarło zupełnie prawdziwe ich znaczenie, ztąd to pochodzi, że wyrażenia malujące najszlachetniejsze uczucia przeszły dzisiaj w frazes pełen huku i szumu, ale czczy i próżny, i że tam gdzie się ich rzeczywiście a prawdziwie używa, nie znajdują już wiary ni znaczenia.

Pan Michał miał również według pana Anastazego, pani Karolowej, pana Mateusza, to nieokreślenie dobre serce, któregośmy jednak, nie potrzebując być dlań tak pobłażliwi jak owi państwo, dotychczas nigdzie jeszcze nie spostrzegli.

— Ten poczciwy pan Michał — mówił jeden *z dalekich* sąsiadów.

— Ten miły pan Michał — mówił drugi.

— Trochę czasem dziwny dla ludzi, ależ serce! — mówił trzeci.

— Jakież u niego serdeczne, otwarte przyjęcie — mówił czwarty.

— A jaki porządny! — mówił piąty.

— No, dzisiaj się trochę z opiniami łamie, ale on wyjdzie z tego zwycięzko — mówił szósty itp. itp.

Pan Michał stanąwszy raz na opinii swego kółka, działał też zupełnie w duchu tegoż, a więc powierzchownie i nijako. Dopiero kiedy nadszedł czas obowiązku rachowania się z każdego słowa i czynu, z każdego kroku uczynionego jako obywatel w kraju, jako właściciel ziemi, jako przełożony socyalnie ludowi, — dopiero wtedy spostrzegł p. Michał zobojętnienie dla siebie, nawet w swym kółku, potrzebującego właśnie dla swej nicości jakiegoś oparcia. Oparcia zaś tego nie mogąc znaleść w rozumie politycznym pana Michała, niemogli też znaleść w sercu jego.

— Przeklęty jakiś duch czasu — mówił do siebie p. Michał i do żony — co zrobisz, to źle, dawniej com zrobił, com powiedział, było dobrze, systemów natworzyli, że niewiedzieć którego się czepić; wolałbym cicho sie dzieć... lecz znowu... popularność! Ot niewiem, czegoś się odemnie usuwają, a nawet od naszej Wandzi, ten pan Julian i ten pan Lucyan, co to przecie pierwej tak ciągle u nas siedzieli, cóż myślisz żono?

— Bo nie umiesz sobie postępować — odrzekła sucho pani Michałowa.

— Ależ jakże mam inaczej?

— Tyś mężczyzna a niewiesz? a przecież albo rozumiesz dzisiejszy duch czasu, albo nie; jeżeli go rozumiesz, idź z nim, jeżeli nie, daj się nauczyć.

— Ależ jak?

— Już więcej nie wiem, to tylko wiem, że zawsze Wandzia na tem traci, nawet jak uważam coraz jest więcej smutna i milcząca.

— Dla Boga, cóż jej robić?

— Być może że to pochodzi z braku rozrywki, bo zresztą ona zawsze taką była, ale ja się boję o nią.

P. Michał się za głowę chwycił, znowu się przeląkł, chociaż nieznając jeszcze niebezpieczeństwa.

— Słuchaj żono, jutro mamy gości, będę się starał koniec zrobić ze sobą i mniej więcej z Wandzią—przygotuj się tylko do przyjęcia.

Nazajutrz było kilkanaście osób na obiedzie. Byli t po większej części sąsiedzi bliżsi, z pomiędzy których trzech nam określić wypada. Pierwszym jest pan Julian, 28 letni młodzieniec, posiadacz pięknej wioski. Przystojny tą przystojnością nie robiącą żadnego wrażenia, miał jeszcze w twarzy pewien wyraz marmurowej zimnej powagi, właściwej synom Albionu. Pochodziło to zaś ztąd, że pan Julian z woli wyraźnej ojca, kształcił się od 14go roku swego życia w Londynie, w ciągu tego czasu tylko 3 razy przyjeżdżając do kraju.

Zapatrując się na ludzi nadewszystko pracowitych, p. Julian także pracował pilnie, skrzętnie, zaciecie nawet starając się zgłębić niektóre nauki specyalne. Czytał więc i przypatrywał się polityce Brytańskiego państwa, pilnie śledził każdą mocyą bez emocyj wniesioną do parlamentu, ciekawie słuchał obrobienia najdrobniejszego najdrobniejszej kwestyjki, i przyszedł do tego samopoznania, że ludzie stanu są tylko w Anglii. Mało albo nic nie znając historyi polskiej, z gazet tylko dowiaduje się o egzystencyi rodzinnego kraju, z broszur tylko pochop biorąc do potrzeby radzenia o nim, przyszedł do tego samopoznania, że tylko wyższa polityka przeważnie zewnętrzna uratować zdoła kraj, — że za jedyną formę w radzeniu, powinna być przyjęta wszędzie zawsze i na każdem miejscu: parlamentarność. Kiedy więc wrócił do kraju i znalazł więcej rozbudzone życie, aniżeli przypuszczał, kiedy wreszcie w każdym kółku gdzie się znalazł, mówiono i radzono gorąco; pan Julian najsamprzód się uśmiechnął z pewną wyższością, a potem przeprowadził dyskusyę parlamentarnie, o nieludzeniu się, zimnej krwi i t. d. Wielu oburzył on na siebie, kilku znowu nakierował na swój sposób widzenia, i na admiracyą swego systemu debatowania, czem wreszcie tak przesiąkł, że wydając nawet ekonomowi rozkazy, najprzód przedstawiał mu punkt za punktem że trzeba siano wygrabić, potem podawał środki, czem to grabienie uskutecznić, a nareszcie zakonkludował, że to siano sprzedać należy, bo nie ma grosza w kieszeni.

Będąc bliskim sąsiadem pana Michała, często go odwiedzał zwłaszcza że mu się panna Wanda bardzo podobała, posag jej również mając w wszystkich widokach; lecz dotychczas pomimo całego toku konwersacyj, którą według stałych reguł zawsze przeprowadzał, niemógł ani zrozumieć charakteru panny Wandy, ani się jej z zamiarami dać poznać. Zbadawszy ściśle pana Michała i panią Michałowę, która z swej lakoniczności nawet, w rozmowie z nim wychodziła, (tąk się jej swoją dystynkcyą podobał) przekonał się, że oboje nie są przeciw niemu, zostawiając tylko wybór córce. Raz przeto z całą formalnością postawił *wniosek* pannie Wandzie, czyby go za towarzysza życia obrać nie chciała, wniosek swój popierając argumentami najściślejszej logiki, to jest, że jej zapewni pozycyą w świecie, i stałe własne przywiązanie, a konkludując tem, że muszą być szczęśliwi — ale p. Wanda nie odpowiedziała ani tak ani nie, zostawiając p. Juliana w największem zadziwieniu, że się nie zdecydowano na tak jasno i dobitnie przedebatowaną sprawę. Nie zraził się tem bynajmniej, bywał dalej,—zawsze pewien wrażenia swej mowy.

Drugim z młodych sąsiadów był p. Lucyan. Pan Lucyan miał lat 32, wysoki i dobrej tuszy, miał dwie wsie w sąsiedztwie, w których chociaż gospodarował starym trybem, bez nowych nawet maszyn, podziału pracy i płodozmianów, szło mu jednak jak najlepiej, a ludzie mówili, że pieniądze zbierał. Nie wyjeżdżał prócz w najbliższe sąsiedztwa nigdzie na krok dalej, nie czytał nic prócz kalendarza po wyjściu ze szkół, nowiny światowe czerpał jedynie z pana Michała, a po przyjeździe p. Juliana, z niego. Nie sprzeczał się nigdy z nikim, nie nienawidził nikogo, wątpimy też, aby kogo kochał, ze wszystkimi chciał żyć w zgodzie, na każdy w świecie zgadzając się porządek.

O kraju, w którym się urodził, niewiele wiedział powiedzieć, tyle tylko, że każdy powinien starać się mieć majątek jak największy ziemski, bo... *to przecie dobrze mieć.* Kiedy czas nastał koniecznego uczestniczenia, p. Lucyan nucił jedno bez ustanku, zawsze i wszędzie, nie wdając się w żadne tłómaczenia, to jest:

— Umiarkowanie, tylko umiarkowanie, to jedyna nasza droga.

Więc umiarkowanie go obchodziły losy i nieszczęścia rodaków, umiarkowanie się cieszył z szczęścia drugich, umiarkowanie przyszedł do 32 roku życia, i umiarkowanie obejrzał się za żoną. Naturalnie najbogatsza sąsiadka najprzód wzruszyła umiarkowane jego serce — ale że się umiarkowanie rodzicom i pannie oświadczał, więc dotychczas nikt go nawet nie posądzał o konkury względem panny Wandy.

Trzecim wreszcie był 24letni Michaś. Mówimy Michaś, bo cały świat nie zwał go inaczej, począwszy od poważnych starców, aż do młodziutkich pań i panienek, a najwięcej jeżeli mówiły, to już mówiły: panie Michaś! Na tę zdrobniałą nazwę niewiemy jak sobie zasłużył, być może że dla swej otwartej, wesolutkiej, wiecznie się uśmiechającej fizyognomii, z której biła prawdziwa polska szczera dusza, dla swego humoru, który był jakby symbolem nigdy nieustającej wiary i nadziei, i dla swej naiwnej często pełnej trafnego rozsądku i bystrości rozmowy. Gdzie był Michaś, tam między pannami była wrzawa i chichoty, między młodzieżą zaś serdeczność i zapał. Michaś nie wiele się uczył, nie wiele czytał, być może że właśnie dla tego zachował ową bystrość i instynkt prawdziwy, który mu był skazówką wybierania sobie ludzi dla swego serca. Michaś wiele nieszczęść przeszedł, bo stracił matkę, jedyną osobę, która mu pozostała z całej familii, jedyną osobę, nad którą na ziemi nic świętszego nie znał, — stracił proces wszczętym przez chciwych krewnych wielki majątek, a został tylko na jednej lichej wioszczynie, z której nieraz niebyło ni chleba kawałka, ni soli; — Michaś wiele cierpiał, bo Michaś miał duszę gorącą, pełną ognia i miłości szlachetnej, a musiał patrzeć na szarpanie swej rodzinnej ziemi, na rozdarcie żywiołów swojskich, na brak w jednych wytrwania i miłości, w drugich dobrej woli i bezinteresowności, — ale Michaś nie rozpaczał, nie uciekł zniechęcony, z goryczą w sercu, bo miał głęboką, potężną wiarę, bo miał w duszy rzucone szczęśliwie nasiona prawdy i owej miłości, która tylko udziałem kilku wybranych, wybranych powiadam, bo osłoniętych łaską Bożą. O tak zacne czytelniczki! do wytrwania i pracy narodowej potrzeba koniecznie łaski Bożej, ta praca bowiem pomimo najsubtelniejszego rozumu, pomimo najpotężniejszych innych zasobów, sama nie przyjdzie; bo naród nasz do swego odrodzenia zupełnego potrzebuje Sakramentu pokuty każdego prawie

z pojedyńczych, Sakramentu przygotowanego ciągłym jękiem najczystszej modlitwy!

Obok tego wszystkiego miał Michaś tę tylko wadę czy szczególność, że ile razy w życiu jego, czy innych, nadarzały się trudne zawikłane kolizye, takie, nad któremi trzebaby sobie trochę głowy nałamać, trochę mózgu nasuszyć, Michaś zamiast się poddać tej próbie, krótko rozstrzygał, bo wstawał rezolutnie, uderzał pięścią w stół, krzyknął: Bodaj d....i, i już więcej nad tem nie myślał. Sprawa szła wtedy w odwłokę, zaniedbanie, i to czemuby można było zaradzić, pozostawało nietknięte. Ta trochę lekka i krótka rezolucya prowadziła Michasia do tego, że najważniejsze zawikłania polityczne rozwiązywał w ten sposób:

— Co tam, do pioruna, nie rezenować, bić i basta!

I wtedy już jak jeden z Dobrzyńskich Mickiewicza wracał na swoje ulubione tema, bić i basta.

Od państwa Michałów mieszkał o dwie mile, ale jeździł często, bo śp. ojciec jego był w kuzynostwie z panią Michałową, jeździł tem częściej, bo za pierwszem widzeniem Wandy, rozgorzał, i powiedział sobie do duszy od razu: ta albo żadna. Ale panna Wanda, (którą niżej poznamy), wprawdzie się czasem nad podziw przy nim ożywiała, lubiąc jego wesołe figle i żarty, często nawet słuchała cierpliwie ognistych jego oświadczyn, lecz czy ich nie rozumiała, czy niechciała rozumieć, dość że Michaś w strasznem zwątpieniu chciał nieraz wszystkich mniemanych swych rywalów bez wyjątku wystrzelać, to znowu rzucał się na kolana i gorąco błagał opieki Matki Boskiej. Panu Michałowi raz tylko o swej miłości wspomniał, lecz pan Michał tak się czegoś skrzywił, że Michaś przeląkłszy się, iżby mu domu niewypowiedziano, czegoby nie przeżył, — zamilkł na wieki. Bywał więc i dalej, ciągle robiąc strzeliste wycieczki do serduszka p. Wandy, ale zawsze jakoś bez widocznego skutku.

(C. d. n.).

Gospodarstwo mleczne.

Pokąd około gospodarstwa mlecznego nie obraca się, jako około swojej głównej osi, całe rozleglejsze gospodarstwo rolne, potąd owo należy do zakresu gospodarstwa domowego i zostaje u nas pod dozorem gospodyni.

Gospodarstwo mleczne jest w najmniejszym zakresie ważnem, bo mleko, masło i sery są zawsze bardzo ważnemi artykułami potrzeby domowej, i zawsze o to chodzi, aby były jak najlepsze i jak najtańsze w stosunku do zakładowego i wkładowego kapitału. Małe mleczne gospodarstwo nieprzyniesie wprawdzie pieniędzy, zwłaszcza w cokolwiek tylko znaczniejszej odległości od miast i miejsc fabrycznych; ale przyczyni się nie mało do oszczędności grosza w domu, a i do wygody, tam osobliwie, gdzie nie podobna mieć częściej świeżego mięsa.

Kto chce mieć pociechę z mlecznego gospodarstwa, niechaj się naprzód postara o mleczne krowy, a powtóre o dobrą i obfitą karm dla nich, tak w oborze jak i na pastwiskach.

Powiedzmy o jednem i drugiem cokolwiek.

Dojną krowę można śmiało uważać za aparat mleczny, a że ten aparat jest organicznej a nie mechanicznej natury: przeto nietrudno pojąć, że się może doskonalić i rzeczywiście doskonali z pokolenia w pokolenie. Wie o tem nasz lud i lubi kupować krowy po znajomu, a to tak, że nie tylko lubi kupować je od znajomych właścicieli, ale nawet po krowach, które znał z mleczności. Na oznaki powierzchowne mleczności, chociaż o nich agronomowie nie mało się już napisali, nie bardzo się można spuszczać. Najlepiej o mleczności krowy można się przekonać dojeniem, ale nie jednorazowem: bo sprzedający przed targiem lub jarmarkiem może umyślnie nie doić jej jakiś czas, aby mleka przybierała.

Kto się postarał o potrzebną mu ilość mlecznych krów, powinien nie tylko o to dbać, aby ich mleczność się nie zmniejszała; ale i o to się starać, aby się powiększała. Powinien więc starać się o obfite i doskonałe dla nich pastwisko i o obfitą i doskonałą karm podczas kiedy stoją na oborze. Dobrze Niemcy powiadają, że mleko idzie przez gardło. Organizm zwierzęcy krowy (tego aparatu mlecznego, jakeśmy ją nazwali), przerabia pokarm naprzód, aby go zamienić w własne części składowe, na miejsce tych, które się w procesie życia codziennie zużywają; powtóre przerabia go na tłuszcz i powiększenie masy swego mięsa, jeżeli do tego ma większą skłonność a niżeli do przerabiania go na mleko; potrzecie, przerabia organizm krowi pokarm spożyty na mleko, a to w miarę większej lub mniejszej skłonności do jego produkowania. Lecz niechaj krowa zaledwie tyle dostaje karmi, ile jej do codziennej restauracyi swego organizmu potrzeba, natenczas mimo największej mleczności da mało mleka, a i tę odrobinę tylko na koszt swego tłuszczu i mięsa, zaczem pójdzie, że znędznieje i na ostatek wcale mleka nie da. Z tem, cośmy dopiero rzekli, jest w najściślejsz m związku następująca praktyczna reguła: *krowa mleczna powinna wprawdzie dobrze i wesoło wyglądać; ale tłustą być nie powinna.* Gdy jest tłustą, nie wiele się od niej można spodziewać mleka, a to lub dla tego, że w jej organizmie przemaga pierwotna skłonność do tuczności, lub dla tego, że przez niewłaściwe obchodzenie się z nią obudzono tę skłonność przytłumieniem skłonności do produkcyi mleka. Wiedzie do tego brak dozoru przy dojeniu. Leniwe i niedbałe sługi, chcąc się jak najmniej upracować, niewydajają raz i drugi, niewydajają dzień po dniu przez tydzień, przez parę tygodni do ostatniej kropli, jak to być koniecznie powinno, a w skutek tego codzień jest mniej mleka, a po upływie kilku tygodni znacznie, i bardzo znacznie mniej, zaczem krowa tuczyć się zacznie, jeżeli jej karmi nieujęto; a gdy się gospodyni na samym początku niepostrzeże, krowa utraci mleczność. Tak cała obora może ją utracić. Może ją też utracić dla niedostatecznej paszy i w skutek wychudnięcia, co wprawdzie usuniętem następnie być może, ale bez klęski dla obory corok peryodycznie praktykować się nie da. Niechaj się jaśniej wytłumaczę. Są gospodarstwa, w których krowy, acz i to mylnie, uważają nie za aparaty mleka, lecz za aparaty nawozu. Dają im tedy karmi ile tyle, pokąd jej dużo mają, gdy jej nie mają każą krowom obchodzić suchednie, mało się niemi troszcząc. W jednych gospodarstwach poszczą krowy regularnie w zimie, w innych w lecie, i aż na rzyzkach się odżywiają. Takim gospodarstwom radzimy, aby liczbę krów do połowy albo nawet do trzeciej części zmniejszyły, a pozostałe karmiły obficie i dobrze przez cały rok — i zaręczamy im, że się nietylko strat dotkliwych ochronią, ale i pewną korzyść mieć będą. Dodajemy też, że tylko dobrze i obficie żywione bydło daje dobry i tani nawóz, a o taki właśnie w gospodarstwie chodzi. Później o gospodarstwie mlecznem pomówimy więcej.

Korespondencya od Redakcyi.

Otrzymaliśmy list zwrotny z sumą 1 zł. 80 c. a. w. poczta Tarnów, lecz bez nazwiska posyłającego, upraszamy przeto o uzupełnienie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**